

Scout

6 kwietnia 2017

Theresa May prowadzi Zjednoczone Królestwo ku ekonomicznej przepaści. Opuszczenie przez Szkocję unii jest ryzykowne, ale racjonalne i konieczne.

Pierwszą istotną politycznie rzeczą jaką w lipcu zeszłego roku zrobiła Theresa May była wizyta w Edynburgu. Nowa gospodyni 10 Downing Street poleciała spotkać się z Pierwszą Ministrą Szkocji. Odebrane to zostało jako symboliczny i miły gest. May uznała znaczenie referendalnego głosowania w Szkocji (62 proc. do 38 proc. za zostaniem w Unii Europejskiej). Ten gest – wizyta zamiast zaproszenia Nicolii Sturgeon do Londynu na rozmowy zwiastował zniuansowaną, ostrożną politykę względem Szkocji i dawał nadzieje na współpracę na szczeblu rządowym i parlamentarnym aby jakoś pogodzić angielską niechęć do Europy oraz szkocki euroentuzjizm. Wspólnie wypracować mapę drogową Brexitu tak aby zadowolić angielskich brexiterów i szkockich remainerów. Czyli w jakimś sensie symbolicznie zjednoczyć brytyjskie społeczeństwo, które po referendum politycznie silnie się spolaryzowało. Kilka tygodni temu podczas kolejnej wizyty na północy, tym razem w Glasgow na konferencji szkockiej Partii Konserwatywnej, Theresa May zrzuciła maskę i zapowiedziała zmniejszenie wsparcia dla Szkocji oraz ograniczenie roli i znaczenia Holyrood. Jej przemówienie zostało potraktowane jako wyzwanie rzucone Sturgeon. Dlatego zeszłotygodniowe wystąpienie Pierwszej Ministry Szkocji i wezwanie do kolejnego referendum w sprawie wyjścia Szkocji z unii brytyjskiej nie powinno dziwić. „Mur bezkompromisowości” w negocjacjach z Unią Europejską, brak konsultacji z Edynburgiem, twardy Brexit sprzeczny z interesami Szkotów – to wystarczające powody żeby powtórzyć głosowanie nad niepodległością. Nawet jeśli na północy nie ma zapału do kolejnej kampanii, a idea ponownej politycznej gorączki budzi obawy. May postawiła jednak Sturgeon pod ścianą. Szkockie

potrzeby i idee w sprawie Brexitu były brutalnie ignorowane. May nie konsultowała ani ze Szkocją, ani z Walią, ani z Północną Irlandią pomysłu o opuszczeniu przez Wielką Brytanię wspólnego rynku. Zignorowała także przygotowany przez Szkotów plan ewentualnych nowych relacji z Unią po Brexicie. I chociaż zaraz po wynikach lipcowego referendum powszechnie uważano, że rozpad Wielkiej Brytanii jest całkiem prawdopodobny to jednak 10 Downing Street nie zrobiło nic aby politycznie pozszywać społeczne podziały, które się wówczas uzewnętrzniły. Theresa May oraz jej ministrowie swoją arogancją i bezkompromisowością wręcz je pogłębiają.

ZŁY CZAS NA DOBRĄ ZMIANĘ

Reakcja na ponowne referendum w sprawie niepodległości Szkocji premiery była spodziewana. A jej argumentacja przeciwko idei sensowna. Rzeczywiście kampania w Szkocji, polityczna gorączka oraz ostra debata na temat zysków i strat opuszczenia Wielkiej Brytanii w czasie negocjacji z Brukselą warunków Brexitu komplikuje proces i osłabia pozycję Londynu. Jak bowiem negocjować z Brukselą skoro nie wiadomo jaki ostatecznie kształt przybierze Zjednoczone Królestwo po ewentualnym szkockim referendum. Trudno też będzie samym Szkotom podjąć decyzję nie wiedząc co Londyn osiągnie w rozmowach z Unią. Kampania niepodległościowa wykreuje jeszcze więcej politycznego chaosu, niepewności i komplikacji. Ale w tej kwestii obie strony mają rację. Nicola Sturgeon kiedy mówi, że 10 Downing Street zaadaptowało niebezpieczną, nieracjonalną i ekonomicznie nieodpowiedzialną agendę eurowrogięgo skrzydła Partii Konserwatywnej ignorując prawie połowę brytyjskiego społeczeństwa, która opowiedziała się za pozostaniem w Unii. I Theresa May kiedy tłumaczy, że niepewny status Wielkiej Brytanii uniemożliwia prowadzenie jakichkolwiek rozmów ze stolicami krajów kontynentu. Dobrego rozwiązania sporu jednak nie ma. Ktoś będzie się musiał ugiąć. Być może Nicola Sturgeon gra na zmiękczenie pozycji Londynu w rozmowach z Unią i na dopuszczenie jej do stołu negocjacyjnego. Bo sami Szkoci do

pomysłu kolejnego referendum w sprawie niepodległości podchodzą nieco sceptycznie. Mniej niż 40 proc. opowiada się za kolejnym głosowaniem przed Brexitem. Z drugiej jednak strony sondaże wskazują na zwiększenie poparcia opuszczenia Wielkiej Brytanii. Dziś 49 proc. Szkotów chce niepodległości. To więcej niż przed ostatnim referendum kiedy to za wyjściem z brytyjskiej unii opowiadało się nieco ponad 30 proc. co SNP daje nadzieję na znacznie lepszy wynik. Torysi zarzucają Sturgeon cynizm i oportunizm. W sukurs idą angielskie gazety. „Times” pisze o „samolubnych, dziecinnych Szkotach, którzy nie mają pojęcia jakie mają szczęście”, a „The Sun” oskarża Holyrood o „polityczne gierki o własny wąski interes”. Typowa angielska mieszanka paternalizmu i pogardy względem słabszego sąsiada. Problem w tym, że argumentacja, której wcześniej używano wobec niepodległościowych aspiracji Szkocji dzisiaj nie może być powtórzona. Bo jak mówić o tym, że „lepiej razem, a głosowanie w ciemno jest nieodpowiedzialne” (Jamie Green – konserwatysta w szkockim parlamencie), albo, że „jedną z sił napędowych powstania Zjednoczonego Królestwa było logiczne założenie, że zarówno bezpieczeństwo jak i siła gospodarcza pochodzą ze zjednoczenia” (May na konferencji w Glasgow) skoro w sprawie Unii Europejskiej ci sami politycy mówią coś zupełnie przeciwnego. Tym razem sensowne argumenty za jednością Zjednoczonego Królestwa będą przesiąknięte hipokryzją. A straszenie konsekwencjami rozvodu niepoważne.

RYZYKOWNA GRA

Nicola Surgeon ryzykuje. Nie tylko polityczny kryzys, swoją karierę i przyszłość swojej partii, ale także przyszłość Szkocji. Bo niepodległość oznacza masę problemów. Szkocka gospodarka jest słaba. Wzrost na poziomie 0,7 proc. jest o wiele niższy niż Wielkiej Brytanii jako całości (2 proc.) Deficyt trzy razy większy niż Zjednoczonego Królestwa. Niskie ceny ropy i brak finansowego wsparcia Londynu oznaczają cięcia wydatków i zwiększenie podatków. Do tego dochodzą komplikacje związane z walutą i wejściem do Unii Europejskiej. Wcale nie

takie pewne i oczywiste. Głównie przez deficyt, ale też polityczny opór Hiszpanii. Ewentualny rozwód Szkocji zarówno z Wielką Brytanią jak i z Unią Europejską oznacza ekonomiczny chaos, żmudne negocjacje umów handlowych, zmiany w strategii obronnej, polityce społecznej. Paradoksalnie jednak ryzyko bycia częścią Wielkiej Brytanii jest większe. Bo Zjednoczone Królestwo prowadzi ekonomicznie samobójczą politykę. Członkowie rządu już przebąkują, że istnieje możliwość wyjścia z Unii bez żadnej umowy. Co by oznaczało, że Wielka Brytania będzie jedynym krajem grupy G20 bez preferencyjnego dostępu do europejskiego rynku. Głosy o zamienieniu Wysp w raj podatkowy są coraz głośniejsze. Do tego jeszcze rządzący torysi dewastują publiczną służbę zdrowia, usługi publiczne i system świadczeń społecznych. Nierówności rosną, destrukcyjny rynek nieruchomości wciąż pełen jest patologii, prawa pracownicze zanikają. Opór zaś jest minimalny. Lewicowa opozycja jest podzielona, bezradna i bez szans na pokonanie prawicy. Społeczeństwo politycznie apatyczne i pogodzone z rzeczywistością. Szkocja tymczasem buzuje. Szkoci buntują się przeciwko polityce Torysów. Nadzieja miesza się z niezgodą na politykę zaciskania pasa i domaganiem się zmian. To nie przypadek, że Nicola Sturgeon wyrasta na najlepszą polityczkę na Wyspach. W przeciwieństwie do Theresy May ma polityczny plan. W przeciwieństwie do Jeremy'ego Corbyna energię i determinację. W odróżnieniu do Borisa Johnsona kwalifikacje i merytoryczne przygotowanie. Pierwsza Ministra Szkocji postępuje racjonalnie. I przy okazji staje się głosem wszystkich tych, którzy uważają politykę torysów za nieodpowiedzialną i szkodliwą, a twardy Brexit za szaleństwo.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: Cooltura.co.uk